

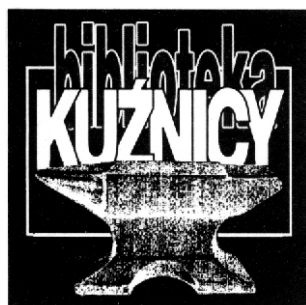


Bronisław Łagowski

SYMBOLE POŻARŁY
RZECZYWISTOŚĆ

universitas

**SYMBOLE POŻARŁY
RZECZYWISTOŚĆ**



Bronisław Łagowski

**SYMBOLE POŻARŁY
RZECZYWISTOŚĆ**

Kraków

© Copyright by Bronisław Łagowski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2011

ISBN 97883-242-1453-2

TAiWPN UNIVERSITAS

Redakcja
Jerzy Lobman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

SPIS RZECZY

Od redakcji	9
Symbole pożarły rzeczywistość	11
Prawda nas wyzwala	17
Zachód – ziemia obiecana i zdeptana	21
Niespolegliwość lewicy	25
Do czego Polska doszła	29
Główny konflikt	33
Wskrzeszenie kołtuna	37
Obraza boska	41
Co się dzieje?	43
Nieznośna lekkość polityki	47
Procesy polityczne po polsku i po białorusku	51
Polska dyplomacja	55
Spółeczeństwo zwykłe i obywatelskie	59
Rozłam w antykomunizmie	63
Niezbędne sprostowania	67
Zinowiew	73
Sakrament lustracji	77
Czarna utopia	79
Ważne i ważniejsze	83
Historia, która niczego nie nauczyła	85

Postkomunistyczny antykomunizm	89
Patriotyczne branie za twarz	93
Raporty z Kresów	97
Niebezpieczne fikcje	101
Lewicy coś się śni	105
Po co wiedzieć	109
Mściwość szaleje w Warszawie	113
„Kłębowisko żmij”	117
Pięćdziesiąty klient Ameryki	121
Pokaz przemocy	125
Nostalgia za rewolucją	129
Malaryczne powietrze	133
Umarło w życiu, żyje w polityce	137
Od heroizmu do bandytyzmu	141
Samozatrucie	145
Posłuchajcie doradcy waszego Reagana	149
Porównania	153
Nie przyzwyczajać się	157
Cep na komunę bije gdzie popadnie	161
Weto mocarstwowe	165
Ludzie roku	169
Kołakowski w telewizji	173
Strach przed prawdą	177
Odepchnięte dziecięcą nóżką	181
Po wyborach w Rosji	185

Gest Kozakiewicza pokazać politykom	189
Krótką pamięć	193
Polacy jak z Dostojowskiego	197
Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało	203
Polska racja stanu: być pionkiem w wielkiej grze	207
Odbywa się osobliwy sąd	211
Krokiem spacerowym w stronę wojny	215
Spółczesność pracująca i antyspołeczność panująca	219
Nasz bliski wschód	223
Uroczyste polskie bagienko	227
Nieprawda	231
Bandyci i polityka	235
Polska hegemonia psychologiczna	239
Dziadkowie i wnuki	243
Żałoba i święto	247
Warto się opamiętać	251
Dlaczego Wanda Wasilewska nas nie chciała	255
Papuga opowiada tragedie	261
Eksportujemy mit najlepszej jakości	265
Święto Kiszczaka	269
Jak szewczyk zgładził smoka	273
Święto kłamstwa	277
Klerk, który „zdradził” i przeprosił	281
Jaki to wszystko miało sens?	285
Klamra Zdrojewskiego	289

Największy wojownik po Sobieskim	293
Kac w pałacu	297
Oczy na wschód, na zachód marsz	301
POPiS-owa racja stanu	305
Rozum czysty i niepraktyczny	309
Pisarz, który za dużo wie	313
Co nas wzmacnia – wróg czy przyjaciel?	317
Bohaterskie państwo kwitnie	321
Czy Rakowski był przeciwnikiem Okrągłego Stołu	325
Bitwa pod Iwieńcem	329
Jak dogodzić nieprzyjaciołom	333
Historia alternatywna	337
Polska na fundamencie mitu	341
Jednoczenie i dzielenie	345
Wschodni balast	349
Jednomyślność po katastrofie	353
Upadek hegemonii szyderców. Rozmowę prowadzi Cezary Michalski	357

Od redakcji

Oddajemy czytelnikowi już drugi w „Bibliotece Kuźnicy” tom rozważań Bronisława Łagowskiego. Były pisane w okresie od żałoby po śmierci papieża do katastrofy smoleńskiej.

Autor rozprawia się z poglądami na wydarzenia, jakie zachodziły w tym okresie i wcześniej, przeciwstawia się fałszywej polityce historycznej, a przede wszystkim dąży do odnowienia tradycji realizmu politycznego w Polsce. Posługuje się nieraz pojęciami filozofii polityki, stroniąc jednak od teoretycznego żargonu.

Teksty w przeważającej większości były publikowane w tygodniku „Przegląd”.

Styczeń 2011

Instytut Badań Społecznych
„Kuźnicy”

SYMBOLE POŻARŁY RZECZYWISTOŚĆ

Spotykam coraz więcej osób, które sądzą, że Polacy od pewnego czasu coraz bardziej odlatują od ziemi. W skali życia jednostkowego są większymi realistami, niż byli w socjalizmie, bo kapitalizm to twarda szkoła życia, nie to co socjalizm, zdejmujący z jednostki dużą część odpowiedzialności za siebie. Ten realizm życia prywatnego nie przenosi się jednak na świadomość społeczną i doskonale współlistnieje z fantastycznymi wyobrażeniami o sprawach państwowych, narodowych i międzynarodowych.

Epokowe przesunięcie

Niektórzy mówią, że w polityce jest tak, jak ludziom się wydaje, że jest. Nie sposób się z tym zgodzić. Wprawdzie to, co się ludziom wydaje, ma ogromny wpływ na politykę, rzeczywistością jednak nie jest. Ta się odsłania w wielkich skandalach, w czasach kryzysów, a zwłaszcza podczas wojny.

Któryś z nowszych filozofów napisał, że człowiek jest istotą marzącą, ucieka w marzenia zawsze, gdy może, a zasadom rzeczywistości podporządkowuje się, gdy musi. Odnosi się to do jednostek i społeczeństw, z tym ograniczeniem, że zarówno jedno, jak drugie bardzo są zróżnicowane pod względem pocucia rzeczywistości oraz skłonności do żywienia się iluzjami.

Patrząc na samą tylko politykę kolejnych polskich rządów, nie można by z niej wywnioskować, że Polska leży o godzinę jazdy samochodem od Berlina, czyli swoją zachodnią rubieżą należy do historycznego, a nie tylko geometrycznego środka Europy. Tak daleko na zachód Polska nigdy – poza efemerycznymi podbojami średniowiecznego króla – nie sięgała. Jaki cud sprawił, że Polska tak korzystnie zmieniła swoje położenie geograficzne? Nie cud, lecz

podbój. Jakiej potęgi było trzeba, aby wyprzeć z tych terytoriów potężny naród? Sama Polska nigdy by tego dokonać nie zdołała. Stało się to możliwe dzięki temu, że w wielkiej wojnie była częścią (małutką, co prawda) koalicji, która zwyciężyła. Pierwszą mistyfikacją, jaką Polacy sobie chętnie przyswoili, była negacja faktu, że Polska w wyniku tej wojny odniosła zwycięstwo i posiadała największą zdobycz, przekraczającą zdobycze pozostałych aliantów. Mimo to Polacy podtrzymują w sobie gorzkie poczucie klęski i krzywdy.

Niespodziewane znalezienie się w środku Europy stawia przed Polakami pewne zadania i obowiązki. Przez wiele wieków podróżnicy przekraczający z zachodu granicę Polski byli przekonani (i wielu z nich o tym pisało), że opuścili Europę i znaleźli się w jakimś kraju barbarzyńskim. Gdy przekraczali tę granicę ze wschodu, cieszyli się, że znaleźli się znowu w cywilizowanej Europie. Czy dziś ta różnica zatarła się całkowicie? Oczywiście, że nie. Trzeba się zgodzić z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, gdy pisze: „Od razu po przekroczeniu granicy (...) uderza bieda, brzydota i prostactwo. Polska to ciągle jeden z najbiedniejszych krajów Unii”. I w innym miejscu: „Polska jest ciągle krajem zacofanym, (...) krajem nieszanowanym przez samych Polaków i przez zagranicę”. Cywilizacja na ziemiach zachodnich cofnęła się nie wskutek komunizmu, bo to nie komunizm utrzymywał przez wiele stuleci różnicę cywilizacyjną między Polską a Europą Zachodnią.

Ten temat powinien być głównym przedmiotem zainteresowań rządu i całego społeczeństwa, a czy jest? Cała polityka wewnętrzna i zagraniczna powinna być wywiedziona z obecnego położenia geograficznego Polski i nastawiona na okcydentalizację, uzachodnienie Polski! Zdrowy rozsądek mówi, że to zadanie można podjąć tylko pod warunkiem skierowania wyobraźni rządzących i rządzonych na Europę Zachodnią. Jest to warunek natury psychologicznej, ale wszelka zmiana w postępowaniu ludzi zaczyna się w psychice.

Klasa polityczna postępuje dokładnie odwrotnie, niż trzeba. Wyobraźnię społeczeństwa zakaża swoją chorobą orientalizmu. W centrum uwagi znajduje się Rosja; pod swoją obronę przed Rosją Polska bierze Ukrainę i Gruzję; tworzy jakieś programy polityki wschodniej dla państw Unii, zamiast uczyć się polityki od tych państw. Kulturuje się nostalgię do Kresów Wschodnich, do Wielkiego Księstwa rzeko-

mo Litewskiego i Rusi, mimo że stamtąd przyszła choroba, na którą umarła pierwsza Rzeczpospolita.

Jaki stosunek do potrzeb rozwojowych Polski mają politycy, świadczą wydatki. Kilkadziesiąt miliardów dolarów na amerykańskie samoloty F-16, jeśli potrzebne, to tylko Amerykanom; kilkadziesiąt miliardów dolarów (w planie) na rakiety Patriot (Amerykanom udało się je Polsce sprzedać przy okazji tarczy, którą chcieli tu zainstalować); prawdopodobnie sto miliardów dolarów na repywatyzację, która będzie sto razy bardziej złodziejska, niż była prywatyzacja. Setki milionów złotych na demaskowanie tajnych współpracowników od dawna nieistniejącej Służby Bezpieczeństwa, tyleż samo na prowokacje policyjne, filmowanie sprowokowanych łapowników i wykrywanie sfingowanych aktów korupcji. Miliardy złotych na nikomu niepotrzebne rozmnażanie stadionów przy braku dróg, nędznie wyposażonym szkolnictwie i zacofanej służbie zdrowia.

Przesunięcie Polski do środka Europy nie było widziane w aspekcie zbliżenia do Zachodu, dopóki Polska znajdowała się w strefie panowania radzieckiego. Wówczas za zachodnią granicą także panował Związek Radziecki. Dopiero od 1989 r. Polacy odkrywają swoją geografę, ale robią to tylko praktycznie; intelektualnie jeszcze tego epokowego, najważniejszego od czasów unii z tzw. Litwą (która w rzeczywistości była księstwem ruskim) zdarzenia w dziejach narodu polskiego sobie w pełni nie przyswoili i dalekosiężnych jak należy wniosków nie wyciągnęli.

Polityka, która nie bierze za podstawę tego faktu i nie obejmuje wszystkich jego implikacji, nie utrafi w najważniejsze cele, jakie stoją przed Polską.

Bezkrwiste symbole

Zagraniczni pisarze polityczni w swoich wzmiankach o Polsce podkreślają nieraz polski brak poczucia rzeczywistości, rozmaicie tę wadę nazywając. Nic w tym osobliwego. Widział to Dmowski, widzieli krakowscy Stańczycy, a także Aleksander Bocheński, Ksa-

wery Pruszyński, Stanisław Stomma czy Stefan Kisielewski, żeby nie sięgać dalej, w głąb historii. Ten stereotyp jest prawdziwy, ale trzeba dodać dwa słowa, na czym polega.

Najogólniej powiedziałbym, że jest to stawianie wyżej w ontologicznej hierarchii uświęconych symboli i mitów niż rzeczywistości. Hegłowska apologia rzeczywistości nigdy nie była w Polsce rozumiana, nawet XIX-wieczni zwolennicy tego myśliciela przypisali mu poglądy odwrotne w stosunku do tego, co głosił.

W Polsce prawie każdy kierunek filozoficzny był przekształcany w doktrynę postulatyczną – w utylitaryzm lub „filozofię czynu”; prawie każda dyskusja przekształca się w dywagowanie o tym, co być powinno, zanim spróbuje się ustalić, co jest. Tylko to drugie pytanie jest prawdziwie trudne, bo co być powinno – każdy się sam domyśli. Można powiedzieć, że polskie myślenie polityczne cierpi na symbolizm i mitotwórstwo, chorobę, która w III, a jeszcze bardziej w IV RP przeszła w stadium ostrego zapalenia.

Objaśnianie przyczynowe faktów i zjawisk prawie zniknęło z publicznych debat, co spowodowało, że publiczne naradzanie się – nie ma bez tego demokracji – do niczego nie prowadzi. Traktowanie mitów i symboli jak rzeczywistości doprowadziło do tego, że realności – realne fakty, realni ludzie – są traktowane jak byty symboliczne, a więc mimo wszystko fikcyjne. Gdy tak się dzieje (a w Polsce przecież już do tego doszło), oderwane na pozór zagadnienie politycznego symbolizmu dotyczy każdego człowieka. Jest on zagrożony, ponieważ i władze, i współobywatele mogą go traktować jako nie w pełni rzeczywistego, w pewnym aspekcie fikcyjnego... Jako istotę, w której nie płynie krew, która nie cierpi i z którą można postąpić tak jak z symbolem.

Kto kocha Powstanie Warszawskie jako symbol i mit, ten z pewnością nie kocha tych 700 tysięcy ludzi wypędzonych z miasta. Organa ścigania są powołane do tego, aby wykrywać i aresztować rzeczywistych przestępców, ale w atmosferze symbolizmu na przestępcę można sobie upatrzeć dowolnego człowieka, skusić go do czynu podobnego do działania przestępczego i ukarać jako symbol korupcji. Coraz więcej kar nakłada się na ludzi nie za to, co realnie zrobili, lecz za to, co symbolizują. Interpretatorzy symboli politycznych zdobyli w Polsce niebywałą władzę. Cała Polska Ludowa stała się symbolem

do interpretacji, a nie rzeczywistością do poznania. Jaruzelski broni się jak realny człowiek, ale jasne jest, że został postawiony przed sądem jako symbol i jego argumentacja jest odbierana jak monolog postaci scenicznej.

W obecnej chwili najwięcej szkody ten symbolizm, ten brak poczucia rzeczywistości wyrządza w polityce zagranicznej, która jest prowadzona według figury retorycznej o nazwie „Powstanie Warszawskie”.

Parodia Schmitta rządzi

W zamierzchłych czasach IV RP natknąłem się w gazecie na zdanie mówiące, że „Kaczyńscy egzystencjalizują politykę w duchu Carla Schmitta”. Co znaczy egzystencjalizować politykę lub cokolwiek innego? O Schmitta się nie pytam, bo parę lat temu po gazetach rozeszła się wieść, że źródłem natchnień prawicowych rządów miał być ten zaciekawiający myśliciel polityczny i teoretyk prawa. Nigdzie nie znajdziemy lepszych argumentów przeciw symbolizmowi w polityce niż w jego pracach. Kaczyńscy natomiast doprowadzili symbolizm do skrajności i inaczej nie potrafią myśleć. Są to ludzie złośliwej zabawy, którzy trafem dostali władzę nad realnym krajem.

Herbert Marcuse nazwał filozofię Schmitta politycznym egzystencjalizmem. Moim zdaniem to trafne określenie. Słowo „egzystencja” nie jest w pismach Schmitta kluczowe. U Schmitta termin „egzystencjalny” został wprowadzony w celu określenia ontologicznego statusu wroga politycznego. Otóż w języku Schmitta to słowo ma znaczenie stosunkowo ściśle i zgodne z długą tradycją; można je zdefiniować przez opozycję: egzystencjalny to tyle co niesymboliczny, nie-normatywny, nie-aksjologiczny, nie-metaforyczny. Franciszek Ryszka, znakomity znawca dzieł Schmitta (mówił z przekąsem, że otrzymał od niego przywilej *interpretatio authentica*), pomylił się w jednym miejscu, pisząc, że egzystencjalizm miałby być zaprzeczeniem ontologii, ale trafnie pisze w innym, że znaczy: konkretny, naprawdę istniejący, sprawdzalny. Jest więc eg-

zystencjalizm najdobitniej sformułowanym realizmem, przyznaniem rzeczywistości wyższej wartości niż mają symbole, mity czy normy.

Gdy na początku lat 90. powiedziałem przybyłemu z zagranicy przenikliwшему ode mnie uczonemu, że wśród ambitnej intelektualnie młodzieży istnieje zainteresowanie poglądami Carla Schmitta, on się zmartwił. Przewidywał to, co się rzeczywiście stało, a czego ja nie przypuszczałem, że mianowicie wpływ Schmitta przyczyni się do podważenia i tak już nikłej kultury prawnej, ośmielania zwycięzców do pozaprawnego zwalczania pokonanych i ogólnego zatrucia atmosfery złymi uczuciami. Schmittiański decyzyjizm i krytyka normatywizmu prawnego składają się, można powiedzieć, z samych niuansów, które poza wąskim gronem znawców są nieuchwytny; jedyny wniosek, jaki politycy mogą z nich wyciągnąć, to prymat woluntarnej decyzji partyjnej w stosunku do uzasadnień prawniczych.

Przyznam się do naiwności: możliwość takiego odczytania poglądów Schmitta nie przyszła mi do głowy. Aż takiego prostactwa umysłowego ludzi zajmujących się polityką nie spodziewałem się. Kryterium wróg–przyjaciel, które przecież ma objaśniać stosunki międzynarodowe oraz rozpad państwa i wojnę domową, zastosowano do rywalizacji i kłótni międzypartyjnych. Trzeba rozróżnić – mówi gdzieś Schmitt – między relacją polityczną a karykaturalną, zdegradowaną formą tej relacji, jaką jest polityka partyjna. „Z pierwotnego rozróżnienia między przyjacielem a wrogiem – pisał – pozostaje jedynie jakiś cień antagonizmu politycznego, wyrażający się w taktycznych rozgrywkach, intrygach, konkurencji i wszelkiego rodzaju podobnych praktykach. Najdziwniejsze układy i manipulacje traktuje się jako »politykę«”. „Polityka”, jaką uprawiają nasze partie, tak się ma do rzeczywistej polityki, jak burdy na stadionie do lądowania aliantów w Normandii.

Gdy w roku bodajże 1987 publikowałem w antologii myśli społecznej XX w. (miesięcznik „Zdanie”) najważniejsze fragmenty głównego dzieła Schmitta „Pojęcie polityczności”, chciałem wprowadzić do publicystyki trochę nowych argumentów na rzecz politycznego realizmu i przeciw „romantyzmowi”, który doprowadził, jak dziś widzimy, do pożerania rzeczywistości przez żarłoczny symbolizm. Mój niewielki na szczęście trud okazał się gorzej niż daremny.

Pierwodruk: „Tygodnik Powszechny” 12 października 2008

PRAWDA NAS WYZWALA

Wkrótce po zawieszeniu stanu wojennego, a może to było w roku 1983, jeden z partyjnych prominentów na Uniwersytecie Jagiellońskim zaproponował mi, abym został pierwszym sekretarzem partii na uniwersytecie. Jest to stanowisko nomenklaturowe – dodał – ale załatwimy rzecz w wyższych instancjach. Wiesz, jaka jest sytuacja, trzeba wybrać kogoś, kto będzie osłaniał „Solidarność”. Na zewnątrz zdziwiłem się, a w środku chciało mi się śmiać. Ja bardzo nie lubię urzędować i „działać”, a gdy już muszę kierować czymkolwiek, popadam w skrajne znudzenie. Bardzo sobie chwaliłem karę wymierzoną mi kiedyś przez Centralną Komisję Kontroli Partii zakazującą pełnienia funkcji kierowniczych. Jednak nie kontrast między moją naturą a proponowaną rolą mnie rozśmieszał. Rozweselające było, że sekretarz partii miał osłaniać „Solidarność”, na co też nie miałem zbyt wielkiej ochoty. Nawiasem, zabijcie mnie, nie pamiętam, czy byłem członkiem „Solidarności”. Między osłanianym a osłaniającym zachodzi taki stosunek, że ten drugi jest jeśli nie silniejszy, to w lepszym położeniu. Tymczasem dla mnie było oczywiste, że na UJ w lepszym położeniu i silniejsza jest „Solidarność”. I to pod wieloma względami. Miała więcej zwolenników, więcej środków oddziaływania, więcej pieniędzy i więcej możliwości nagradzania. Wbrew woli „Solidarności” nie można było wybrać rektora, delegata do senatu i miała tu i ówdzie wpływ na wybór partyjnych sekretarzy. Weto partii było znacznie słabsze niż weto „Solidarności”. Przynależność do PZPR już od końca lat 70. nie ułatwiała awansów, a poparcie „Solidarności” w latach 80. ułatwiała. Gdy „Solidarność” chciała obwieścić krajowi, że ktoś został zatrzymany, zrewidowany czy uderzony pałką milicyjną, Leszek Maleszka dzwonił natychmiast do Kuronia, Kuroń do Wolnej Europy i następnego dnia mieliśmy o jednego bohatera więcej. Partia miała do dyspozycji tylko media ocenzone i niewiarygodne, w których

być pochwalonym przynosiło większą szkodę niż dawniej zostać ukaranym przez centralną komisję. „Solidarność” była postrzegana jako siła przyszłościowa, partia jako byt wycieńczony, którego dni są policzone. Zasadę rotacji pracowników naukowych (usuwanie tych, co nie spełniali warunków merytorycznych) na niektórych wydziałach *de facto* zawieszono, na innych zliberalizowano, żeby przypadkiem nie musieć zwolnić kogoś z „Solidarności”. Partyjni chodzili smutni i zawstydzeni, solidarnościowi gniewni, zadowoleni z siebie i pełni najlepszych nadziei. W kraju stosunek sił był inny, ale na Uniwersytecie Jagiellońskim właśnie taki. I jak tu było nie śmiać się w duchu, gdy do roli sekretarza partii dodano osłanianie „Solidarności”.

Przypomniało mi się to wszystko i wiele innych szczegółów w związku z głośną na całą Polskę aferą lustracyjną na Uniwersytecie Jagiellońskim. Donos opublikowany w gazecie specjalizującej się w takich doniesieniach pobudził do energicznego działania rektora, kolegia rektorskie i dziekańskie, niektóre rady wydziału, a wkrótce ma nad tym obradować senat uniwersytetu. Co zrobić z profesorami, których niedoszła posłanka LPR pomówiła o to, że byli współpracownikami nieistniejącej od 15 lat służby bezpieczeństwa? Że coś koniecznie trzeba zrobić, co do tego rektor UJ nie miał żadnej wątpliwości. („Zareagowanie na publikację w „Gazecie Polskiej” uważam za rektorski obowiązek” – oświadczył). Awanse, wszelkie zaszczytne nagrody zależą od osiągnięć naukowych. Niech się jednak taki wysoko nagradzany uczony znajdzie na liście agentów, okaże się, że cały jego dorobek nic nie znaczy. Oto akademicka hierarchia wartości dzisiaj, widziana od podszewki, potwierdzana przez rektorów, dziekanów, ich doradców. Jeżeli któryś z polskich uczonych otrzyma Nagrodę Nobla (a o paru się mówi), to jeszcze nie da mu pewnej pozycji na polskim uniwersytecie: archiwista w IPN może upublicznić papier, który zepchnie noblistę na margines społeczeństwa. Postawi go w stan wiecznego podejrzenia, jak zrobiono z Wałęsą, laureatem Nobla, nawiasem mówiąc.

Nieodczuwający żadnego oporu, nienapotykalający na żadną opozycję ludzie „Solidarności”, mający w swoich rękach najważniejsze instrumenty władzy i wpływu, nasilają kampanie zemsty nie wiadomo za co. Oficjalnie to się nazywa szukaniem prawdy, która nas wyzwoli,

czy jakoś podobnie. Wykrywanie agentów czy rzekomych agentów ma teoretycznie tę samą rangę co odkrycia naukowe, a faktycznie wyższą. Oświadcza rektor w związku z donosem działaczki LPR: „Mówimy, iż pracownicy uniwersytetu winni poszukiwać prawdy i ją odkrywać. Moim zdaniem również taką, która jest bolesna i nieprzyjemna”. Trudno dyskutować z uczonymi, którzy nie mają własnego zdania. Politycy i księża narzucili im swoją hierarchię problemów i swoje pojęcia. Zadziwiające, jak głęboko w umysły akademickie wniknął wpływ politycznej propagandy. Takiego zniewolenia umysłów (umysłów, mówię, a nie czynów) w PRL w środowisku akademickim za mojej pamięci jednak nie było. Profesorowie powinni zadać sobie pytanie: co robimy z autonomią uniwersytetu, którą poprzednie pokolenie wywalczyło? A raczej wypracowało, bo walka przychodzi przeważnie na gotowe.

Pierwodruk: „Przegląd” 18 grudnia 2005

ZACHÓD — ZIEMIA OBIECANA I ZADEPTANA

Świat się dzieli na Północ i Południe; Północ dzieli się na Wschód i Zachód. Południe się nie dzieli, w każdym razie gazety nie piszą, żeby się dzieliło. Wszędzie coś się dzieje, ale to, co się dzieje w zachodniej części Północy, co najmniej od Renesansu, jest najważniejsze i wpływa na cały pozostały świat. Zachód dzieli się na Europę Zachodnią i Amerykę Północną. Część Zachodu jest archipelagiem rozrzuconym po całej kuli ziemskiej i składa się z Australii, Nowej Zelandii i Izraela. I może z czegoś jeszcze, co mi w tej chwili nie przychodzi na myśl.

Wiele narodów niezachodnich uważa Zachód za siłę opiekuńczą całego globu i gdy się gdzieś źle dzieje, nie żadna inna część świata, lecz Zachód jest wzywany na pomoc i obwiniany zarówno wtedy, gdy nie pomoże, jak i gdy pomoże.

Polacy, gdy tylko wyszli ze swojej sarmackiej ciemnoty, od razu domyślili się, że jest taki Zachód, który powinien mieć nas w swojej opiece. Już Kościuszko na to liczył. Po każdej klęsce rozlegał się lament, że Zachód nas zdradził, a powinien był wyzwolić. Zdradził nas w Jalcie, nie przyszedł z pomocą we wrześniu 1939 roku ani podczas powstania warszawskiego, o czym samokrytycznie powiadamia nas w grubym dziele profesor Norman Davies, Brytyjczyk. Dziwiłem się, skąd Polacy w XIX wieku brali pewność, że obowiązkiem Zachodu jest wyzwalać naród polski lub chronić go przed klęską. Teraz, gdy każdego dnia otrzymujemy wiadomości ze wszystkich zakątków świata, już się dziwić nie można. Zbuntowani Czecheni skarżą się, że Zachód pozwala Rosjanom ich uciskać, co jest ohydną zdradą. Zachód przecież ma oczywisty obowiązek wziąć Czechenię pod swoje skrzydła opiekuńcze i niezrozumiałe jest, dlaczego tego nie robi. Moskiewscy liberałowie pytają retorycznie, dlaczego Zachód nie wprowadza w Rosji liberalnej demokracji, dlaczego pozwala Putinowi samowolnie mianować gubernatorów i dopuszczać

się innych aktów despotyzmu. Podobnie tybetański Dalajlama: kiedyż w duszy Zachodu odezwie się sumienie, a z oczu jego spadnie bielmo niewiedzy? Tybet czeka na wyzwolenie przez Zachód.

I tak z całego niezachodniego świata dochodzą apele, wezwania i prośby: Zachodzie pomóż, Zachodzie wyzwól, Zachodzie ocal, Zachodzie nakarm. I mniejsza o to, czy Zachód wyzwala i karmi, znamienne jest, że świat wyznaje wiarę w Zachód, że w tej części globu widzi najwięcej moralności i siły, a także siedlisko najwyższego sensu, nawet jeśli tego zachodniego sensu nienawidzi. Zachód, kochany czy nienawidzony, przyciąga ludzi zewsząd. Przenikają przez jego granice legalnie i nielegalnie, łądem przez zieloną granicę, morzem na dziurawych statkach, duszą się w kontenerach, na rozmaite sposoby ryzykują życiem, aby żyć na Zachodzie. Oszukują konsulatory, kupują fałszywe dokumenty lub – po przekroczeniu granicy hiszpańskiej – czym prędzej niszczą prawdziwe. Jedni liczą na azyl polityczny, drudzy na czarną robotę; jedni wciskają się pojedynczo, drudzy całymi rodzinami, grupami. Wreszcie my, Polacy i inni wschodni Europejczycy, korzystając z geograficznego sąsiedztwa, weszliśmy w granice Zachodu całymi państwami.

To jedna strona medalu. Drugą jest pesymizm samego Zachodu co do swojej przyszłości. Tym nastrojem w większym stopniu dotknięta jest europejska część Zachodu. Ameryka Północna ma mniej powodów do złych przeczuć, chociaż nie wszyscy są tego zdania (np. Rifkin, Emmanuel Todd, Patrick Buchanan, także Lester C. Thurow). Europejski system społeczny i polityczny nie radzi sobie z integracją napływającej ludności. Zachowuje ona swoje obyczaje, religie, poczucie etnicznej tożsamości. To pozostawanie „sobą” w drugim, trzecim pokoleniu nabiera charakteru czysto negatywnego: kultura przodków zostaje porzucona, żadna nowa nienabyta, a „tożsamość” polega na wrogości wobec zachodniego społeczeństwa. Jest to populacja żyjąca poza systemem i pod tym względem (ale porównania nie wolno posuwać za daleko) przypomina zjawisko „buntu mas”, jakie pojawiło się w Europie po pierwszej wojnie światowej, gdy wskutek rozpadu przedwojennych, tradycyjnych struktur szerokie rzesze znalazły się poza integrującym porządkiem. Dyktatury i ustroje totalitarne, jakie zapanowały wówczas na kontynencie, były reakcją na to zjawisko.

Zastosowanie tego rodzaju metod jest dzisiaj nie do pomyślenia, a problem do rozwiązania jest trudniejszy. Europa Zachodnia przyciąga obfitością i łatwą dostępnością dóbr konsumpcyjnych, ale już nie kulturą i nie swoimi „wartościami”.

Również narody, które w granice Zachodu weszły w zwartym szyku państwowym, nie bardzo skwapliwie przyswajają sobie zachodnie wzory współżycia i współpracy. Polska jest najlepiej znanym nam przykładem. Nigdy regres do „sarmatyzmu”, do polityki będącej mieszaniną anarchii i tyranii, do dominacji religii w kulturze, a kleru w polityce nie był tak widowiskowy jak właśnie po wejściu do Unii Europejskiej.

Imigranci z Maroka, Algierii czy Cejlonu przedostawszy się szczęśliwie do Europy Zachodniej, myślą tylko o jednym: stać się pełnoprawnymi beneficjentami państwa socjalnego; od narodów, które nas przyjęły, żądamy solidarności, a poza tym nie chcemy ich znać. Czy Polska jako państwo zachowuje się inaczej? Świat zadusi Europę Zachodnią swoim wymaganiem solidarności.

Pierwodruk: „Przegląd” 31 grudnia 2005

NIESPOLEGLIWOŚĆ LEWICY

Przed polskim wymiarem sprawiedliwości toczą się procesy polityczne. Jedne z oskarżenia Instytutu Pamięci Narodowej, który jest instytucją polityczną. Drugie z oskarżenia sejmowych komisji śledczych, które przez partie bardziej przedsiębiorcze zostały przekształcone w narzędzie zwalczania niemrawej partii „postkomunistycznej”. Z inicjatywą procesów politycznych występują organizacje kombatanckie. Oskarżani i już skazywani są ludzie za czyny popełnione 60 lat temu. Niezależnie od jakości tych czynów już samo wydobywanie ich z tak odległej przeszłości jest motywowane niskimi emocjami politycznymi. Nie wierzę, żeby osoby, że się tak brutalnie wyrażę, stojące nad grobem budziły w normalnych ludziach, choćby fanatykach partyjnych, chęć zemsty. W tych starcach sądzi się historię, a ułomnych ludzi tylko przy okazji, jako wióry od rąbanych drzew.

Sądzone są z powodów politycznych nie tylko czyny według ludzkiego sumienia przedawnione, ale także dzisiejsze. Prokuratorzy, wykorzystując niekiedy nieodpowiedzialną paplaninę głupców, konstruują fantastyczne hipotezy, a sądy pod psychicznym naciskiem mediów wydają na tej podstawie skazujące wyroki. Wyrokowanie w oparciu o poszlaki wymaga szczególnych kwalifikacji intelektualnych, o które wśród polskich sędziów, jak wśród wielu innych profesji umysłowych, już nie jest łatwo, a widoczne obniżenie poziomu kształcenia sprawi, że w pokoleniu wchodzącym do zawodu będzie jeszcze trudniej. W Polsce w ogóle nastąpiło takie rozluźnienie rygorów myślowych (z powodu szerokiego wpływu religii i przewagi politycznego chęjścia nad obserwacją), że w procesach poszlakowych można każdemu wszystko „udowodnić”. Właśnie udowodniono wiceministrowi do spraw policji, że świadomie naraził policjantów na niechybną śmierć. W przenośnym, lecz komunikatywnym języku „nowa” władza zapowiada, że takich procesów

będzie dużo. Chyba nikt nie jest taki naiwny, aby roić, że wszczęty już przez IPN nowy proces polityczny przeciw generałowi Jaruzelskiemu kończy okres takich procesów. Raczej zaczyna się bardziej otwarte kryminalizowanie polityki.

Zastanawiające jest, dlaczego tak skore do podpisywania listów protestacyjnych osobistości znane z tego, że są znane, nie zabierają głosu w sprawie procesów politycznych w Polsce. Może dlatego, że nie widzą w tym nic złego. Jeszcze ciekawsze jest zachowanie się Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Nie tylko nie protestuje, ale wprost stara się dopasować do kryminalizacji polityki, mając nadzieję, że wywikła się w ten sposób z zarzutu, iż jest partią skorumpowaną. Moim zdaniem, nie wywikła się, lecz ściągnie na siebie jeszcze większą pogardę przeciwników i utraci następną grupę swoich wyborców.

Czytam w prasie, że Zbigniew Siemiątkowski opuścił SLD, ponieważ kodeks partyjny zmusza do rezygnacji z członkostwa osoby, przeciw którym toczy się śledztwo. Prokuratura podejmuje zarzut prawicowych członków sejmowej komisji śledczej i oskarża Siemiątkowskiego, byłego szefa Agencji Wywiadu, o niezachowanie w tajemnicy swoich notatek z rozmowy z Janem Kulczykiem. Oskarżenie naciągane, a jeśli wziąć pod uwagę, jakimi strażnikami tajemnic państwowych są oskarżyciele z sejmowej komisji, wprost beczelne. I co w tej sytuacji robi SLD? Odmawia solidarności swojemu do niedawna prominentnemu działaczowi, zdaje się, że nawet współzałożycielowi partii. Siemiątkowski nie jest ostatnim politycznym oskarżonym, po nim taki los czeka wielu innych. Po niepowodzeniu pierwszej weryfikacji SLD czeka druga prokuratorska i sądowa, po której w partii zostaną tylko obdarzeni łaską późnego urodzenia. Ci, jeżeli będą mieli czas poczekać na wyborców, którzy się jeszcze nie urodzili, to założą z nimi partię niewinną i czystą jak Marek Borowski w dniu pierwszej komunii.

Zbigniew Siemiątkowski nie jest politykiem, którego mógłbym uznać za reprezentanta moich poglądów czy życzeń, ale to nie ma znaczenia, gdy staje się on jedną z ofiar represji ze strony silniejszych w tej chwili przeciwników. Co do SLD zaś, to, jak świadczy stosunek do swego prześladowanego działacza, po wszystkich odnowach, weryfikacjach i odmłodzeniach popada w coraz rozpaczliwszą dezorientację moralną i polityczną.

Józef Oleksy lubi ozdabiać swoje wypowiedzi wyszukаныmi słówkami i nieraz sięga po rzadkie słowo „spolegliwy”, niestety w błędnym znaczeniu. Spolegliwy jest ten, na kim można polegać, a nie ktoś uległy. Myślałem sobie: oby przyczyną tego uporczywego błędu nie był brak cnoty spolegliwości w środowisku, w którym mówca ciągle się obraca. Obawa, niestety, się potwierdziła. Działacze SLD okazali się niespolegliwi wobec siebie i wobec wyborców. I mimo że stało się to najważniejszą może przyczyną klęski, wcale się nie zmienili, a co gorsza, dobrali sobie młodych z tą samą wadą. Podnieśli ją nawet do wysokości kodeksu partyjnego.

Pierwodruk: „Przegląd” 8 stycznia 2006

DO CZEGO POLSKA DOSZŁA

Zgadalo się o polityce gdzieś podczas Okrągłego Stołu ze znany opozycjonistą, liberalnym katolikiem, późniejszym ministrem w rządzie solidarnościowym. Jedną z możliwości wówczas rozważanych było przejęcie rządów przez chrześcijańskich demokratów. „Jeżeli mieliby rządzić chadecy, to ja już wolę PZPR”, powiedział ów liberalny katolik. Wówczas mnie to tylko lekko zdziwiło, dopiero teraz trudno w to uwierzyć. W środowiskach liberalnych, także katolickich, istniała obawa przed rządami ugrupowań blisko związanych z Kościołem. Jerzy Turowicz miał więcej zaufania i sympatii do „lewicy laickiej” niż do takich skądinąd godnych szacunku współwyznawców, jak Andrzej Micewski czy profesorowie Wiesław Chrzanowski, Andrzej Stelmachowski, nie mówiąc już o Ryszardzie Benderze. Widząc naturalny niejako napór politycznego katolicyzmu, inteligencja liberalna pocieszała się, że w Polsce partia chadecka nigdy nie była dominująca, nie ma się więc czego obawiać; liberalne siły wypełnią błogosławioną pustkę po PZPR. Gdy jednak tę pustkę zaczęły z czasem wypełniać różne kościelne emanacje partyjne, pocieszano się, że przynajmniej nie są one nacjonalistyczne. Prędko okazało się, że są. Dalejże więc się pocieszać, że nie ośmielą się być antysemickie. Jednak się ośmieliły. Wszystko to przebiegało w cieniu walki z „postkomunizmem” i kto nie chciał, mógł nie widzieć, co się dzieje. Na niebezpieczeństwo nacjonalistycznego (w domyśle też: katolickiego) skrzywienia polskich przemian zwracał zawczasu uwagę Adam Michnik, ale został zakrzyczany i nawet dziś, gdy smutne przepowiednie się spełniły, odmawia mu się racji i to tak zaciekle, że on sam, zdaje się, zwątpił w to, co dobrze wiedział.

Cofnijmy się do czasów PRL. Inteligencja liberalna, chociaż nie mówiła swoim językiem, to jednak po swojemu myślała. Miała ona dwóch wrogów: realnego, któremu nie mogła dać rady i ideowe-

go, który mógł się urealnić w nieznanym dniu i nieznaney godzinie. Pierwszym było totalne państwo, drugim nacjonalizm. Dziś mało kto pamięta, ile wnikliwości wkładano w śledzenie podtekstów nacjonalistycznych w różnych publikacjach politycznych i literackich, a także w filmach. Antoni Słonimski bardzo sarkał nawet na „Krzyżaków” Aleksandra Forda. Spór „szyderców” z „bohaterszczyzną” miał sens polityczny. Gdy pojawiły się ugrupowania opozycyjne, inteligencja liberalna bardzo podejrzliwie podchodziła do tych, które rozpoznawała jako nacjonalistyczne. Potrafiła rzucać podejrzenia prawdziwe i nieprawdziwe ograniczające zasięg oddziaływania tych ugrupowań. W pozacenzuralnym, nielegalnym czasopiśmie „Krytyka” Jacek Kuroń pisał w 1978 r., że komunizm jako ideologia już nie istnieje, teraz głównym wrogiem jest nacjonalizm. Antyklerykalna i antynacjonalistyczna była również paryska „Kultura”. To stanowisko najdobitniejszy wyraz znalazło w esejach Czesława Miłosza.

Oto co się teraz dzieje: radiostacja kierowana przez brutalnego mnicha, pełne wcielenie tego, co inteligencja liberalna nazywała kiedyś nacjonalistycznym i katolickim ciemnogrodem, staje się prawie oficjalnym organem, a już bez „prawie” uprzywilejowanym środkiem przekazu premiera i jego ministrów. Co na to inteligencja liberalna? Żadnej oceny pryncypialnej z tej strony nie słyszymy. Jedni, którzy uwewnętrzznili sobie pluralizm i wielokulturowość, mówią, że Radio Maryja i Telewizja Trwam „wzbogacają horyzont ideowy”, drudzy, liberałowie wyznania bardziej gdańskiego, powiedzą, że o. Rydzyk zwiększa ofertę medialną. Większość poprzestaje na kpinkach i kąśliwych uwagach.

Nie można powiedzieć, że inteligencja liberalna w całości, jak jeden mąż, opuściła swoje stanowisko, porzuciła swoją tradycję i przeszła na stronę zwycięskich politycznie przeciwników. Kilka wybitnych jednostek, jak np. Barbara Skarga, Jerzy Jedlicki czy Wiktor Osiatyński zaświadczać przy różnych okazjach, że ta formacja jeszcze nie zginęła i może odwojować utracone wpływy. Nic jednak nie zapowiada, żeby mogło nastąpić to wkrótce.

(Mówiąc tu o liberalizmie, mam na uwadze jego odmianę oświeceniową, a nie kontrkulturową, która kwitnie i ułatwia działanie konserwatywnej rewolucji).

Platforma Obywatelska jest partią odrzuconą przez Radio Maryja nie ze swojej winy. Robi ona wszystko, aby zyskać wyraźne poparcie ze strony Kościoła. Szukała swojego Rydzyka i myśli, że znalazła go w osobie arcybiskupa Dziwisza. Platforma obiecuje, że w razie dojścia do władzy zwiększy nakłady na rozwój nauki. Ale nie jakiegokolwiek nauki, lecz nauki najwyższej, królowej nauk, mianowicie teologii. „Politycy Platformy zgromadzili wokół siebie duchownych intelektualistów, m.in. rektorów katolickich uczelni, którym obiecali walkę o dofinansowanie. (...) Takim działaniem są już projekty ustaw zgłoszonych przez PO. Chodzi o dotacje z budżetu państwa dla Papieskich Wydziałów Teologicznych w Warszawie i Wrocławiu...” („Gazeta Wyborcza”, 9.01.) Pod światłymi ewentualnymi rządami PO nauka polska bardzo się rozwinie, doścignie i prześcignie amerykańską agencję NASA, bo teologia sięga dalej, zna się na całym wszechświecie, Bogu i niebie. Oprócz pieniędzy na rozwój teologii liderzy PO obiecali arcybiskupowi Dziwiszowi pierwsze miejsce w Episkopacie („Bo przyszła głowa Kościoła katolickiego w Polsce – powiedział Rokita o abp. Dziwiszu – mówi do nas: Nie zostaniecie sami” („Gazeta Wyborcza”)).

Doktryna nacjonalistyczna to jedno i jeszcze nie najgorsze. Do nieszczęścia dochodzi, gdy naród zostaje poddany takiemu praniu mózgów, że staje się dziwadłem w Europie. W tym praniu mózgów partia uchodząca za liberalną nie daje się wyprzedzić Radiu Maryja. Gdyby Platformie Obywatelskiej udało się wykreować jakiś „kościół łagiewnicki”, byłby on w swoich złych cechach jeszcze gorszy od toruńskiego pierwowzoru.

Pierwodruk: „Przegląd” 29 stycznia 2006

GŁÓWNY KONFLIKT

Ciągle trwające spory między dwiema zwycięskimi partiami postsolidarnościowymi o powyborczy podział władzy przesłaniają główny konflikt polityczny, który zaostrza się w szczegółach, ale co do istoty od kilkunastu lat jest ten sam. Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość należą do panującego w kraju obozu solidarnościowego i w głównym konflikcie zajmują miejsce po tej samej stronie barykady. Mają te partie taki sam pogląd na zwalczanie „postkomunistów” i jeśli w tej kwestii ze sobą rywalizują, to tylko o to, która z nich jest bardziej radykalna i w swym antypostkomunizmie bardziej wiarygodna. Przed wyborami obie głosiły, że różnią je programy gospodarcze (coś przecież musiało je różnić), zastrzegając się, że rozbieżności nie są tak znaczne, żeby mogły stać się przeszkodą dla zawarcia koalicji. Okazało się po wyborach, że rozbieżności były pozorne, a malowniczo wolnorynkowa eksliderka Platformy znakomicie figuruje dziś w rządzie PiS-u jako caryca od finansów.

Publiczność przyglądająca się konfliktowi jest już przygotowana do tego, żeby Platformę Obywatelską uznać za opozycję i w ten sposób prawie całą przestrzeń polityczną oddać jednemu obozowi.

Słusznie się mówi, że konflikt PO-PiS nie ma charakteru politycznego. Przypomina zwadę w rodzinie, gdzie może nawet polać się krew, ale postronni nie powinni się do tego mieszać, bo rodzina może też nagle się zjednoczyć i boleśnie poturbować nieproszonych apostołów świętej zgody.

Podczas gdy główna uwaga mediów jest skierowana na zwadę panów Kaczyńskich z panami Tuskiem i Rokitą, Polskę rozdziera realna dezintegrująca naród walka obozu postsolidarnościowego z „postkomunistycznym”. Głównymi narzędziami w tej walce są lustracje, ustawowe i dzikie, dyfamacyjne kampanie telewizyjne i gazetowe, a przede wszystkim Instytut Pamięci Narodowej, instytucja

całkiem oryginalna, którą można określić jako służbę bezpieczeństwa skierowaną na zwalczanie przeszłości.

Zastanawiającą cechą tego konfliktu jest, że strona zwalczana nie tylko się nie broni, ale nie śmie nawet głośno mówić, że jest prześladowana. SLD w niektórych przypadkach politycznych prześladowań swoich członków przyłącza się do prześladowców, usuwając prześladowanych ze swoich szeregów. Pisałem o tym w związku z przypadkiem ministra Siemiątkowskiego. Jeżeli w ten sposób zachowuje się główna partia lewicy, to jakim prawem moglibyśmy domagać się od liberalnej inteligencji, żeby zainteresowała się procesami wytaczanymi z powodów politycznych. SLD protestuje przeciw zakazowi takich zabawowych imprez jak „parada równości”, ale nie dostrzega nic godnego uwagi w przygotowywanym drugim już procesie politycznym przeciw generałowi Jaruzelskiemu.

Różnice zachodzące między obozem postsolidarnościowym a obozem „postkomunistycznym” (reprezentowanym przez SLD i frakcję Borowskiego) omawiam obszerniej na innym miejscu, tu wypowiem się w konspektowym skrócie. Obóz postsolidarnościowy działa według logiki restauracji: jego dążenia od początku zmierzały do odtworzenia ustroju, jaki panował w Polsce przedwojennej, w czasach przedkomunistycznych. Z tego okresu czerpie wzory stosunków społecznych i gospodarczych, formy władzy politycznej, treści wychowania patriotycznego itp. Okres Polski Ludowej wykreśla z historii państwa polskiego, a swoje rządy uznaje za bezpośrednią kontynuację rządu londyńskiego, co zaakcentował Lech Wałęsa, przejmując insygnia władzy prezydenckiej od niejakiego pana inż. Kaczorowskiego, o którym przy tej okazji Polacy dowiedzieli się, że był ich legalnym prezydentem na emigracji. Na tym polega „paradygmat” inspirujący politykę obozu postsolidarnościowego z jej delegitymizacją i kryminalizacją PRL. Jeśli chodzi o obóz „postkomunistyczny”, to Aleksander Kwaśniewski wraz ze swym otoczeniem ten „paradygmat” raczej przyjmuje, reszta nie wie, co o tym myśleć.

Obóz postsolidarnościowy silnie akcentuje swoją tożsamość – strona postkomunistyczna (a zwłaszcza SLD wraz z „borówkami”) neguje swoją tożsamość; istnieje, bo istnieje, nie szuka i nie bada swojej racji trwania. Postsolidarność heroizuje swoją przeszłość,

SLD odwartościowuje swoją; ucieka od niej i „wybiera przyszłość”. Borowski wybiera na patrona Kuronia, z którym nic go nie łączyło. Postsolidarność zakorzeniła się symbolicznie w kulturze patriotycznej, w mitologii narodowej, ogłosiła się spadkobierczynią powstań narodowych, a pogłos tych powstań, zwłaszcza warszawskiego, wplotła w swoją propagandę i wykorzystuje do autoheroizacji. Postkomunizm nie demonstruje namiętności patriotycznych, żadnej szczególnej tradycji narodowej nie uznaje za swoją; niekiedy oportunistycznie „podłącza się” do fragmentów tradycji przeciwnika, i to tych najbardziej wątpliwych (powstanie warszawskie), co jest powszechnie i słusznie postrzegane jako przebijanie się w nie swoje szaty. Brakuje mu zupełnie świadomości genealogicznej. Ludzie SLD, a zwłaszcza ci młodzi, którzy wysunęli się na czoło, całkiem dobrze się czują ze świadomością, że ich partia wypadła sroce spod ogona.

Postsolidarność uprawia „politykę historyczną” tak w stosunkach międzynarodowych, jak w kraju. „Postkomunizm” tego nie rozumie i sądzi, rzekomo trzeźwo, realistycznie, że to nie przynosi żadnych skutków. W stosunkach międzynarodowych istotnie nie przynosi, a w kraju jej ofiarami są tylko dzieci w szkołach. Jednak dzieci za kilka lat będą wyborcami i oddadzą głosy na te partie, które się najbardziej przekonująco podszyją pod powstańców warszawskich.

Ogólną filozofią działania postsolidarności jest polityczny romantyzm; postkomunizm może mu przeciwstawić tylko mgliste „lewicowe wartości”.

Etyką postsolidarności jest etyka zemsty, odwetu, wpisana we wszystkie transformacje o charakterze rewolucyjnym i restauracyjnym. Postsolidarność nie jest jednak w najmniejszym stopniu zjawiskiem rewolucyjnym; brakuje jej projektu utopijnego, brakuje patosu wielkiej przemiany; jej ideałem są, jak wspomniałem wyżej, stosunki poprzedzające komunizm. Głosi chwałę II Rzeczypospolitej, idealizuje ziemiaństwo itp. Epitety „jakobini” czy „bolszewicy”, jakimi się czasem oznacza radykałów postsolidarności, są jak najgorzej dobrane. Jeżeli już szukać analogii historycznej, to III Rzeczpospolita stanowi odpowiednik Restauracji, jaka za-

panowała we Francji po wypaleniu się wielkiej rewolucji i upadku Napoleona. Artykuł prof. Jana Baszkiewicza drukowany kiedyś w „Przeglądzie” znakomicie tę analogię pokazuje. Przejście od III RP do IV, które się właśnie dokonuje, odpowiada z grubsza przejściu od liberalnej Restauracji Ludwika XVIII do rządów ultrasów pod panowaniem Karola X. Ultrasi przesadzili i Francuzi w końcu mieli ich dość. Objęcie tronu przez Ludwika Filipa Orleańskiego kończy cykl: Ancien Régime, Rewolucja, Restauracja. Nastają czasy normalności, czyli polityki ukierunkowanej na teraźniejszość.

Polityka restauracyjna jest w większym stopniu uzależniona od kultury niżeli polityka teraźniejszości. Partia, która się z kultury wyłączyła, musi przegrać z partią restauracyjną.

Pierwodruk: „Przegląd” 5 lutego 2006